

WILEŃSKI BISKUP KATOLICKIEGO OŚWIECENIA

Tadeusz Kasabuła, Ignacy Massalski biskup wileński, Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1998 ss. 626.

Biskup Massalski, mimo że miał się wielu spraw natury publicznej, nie zaniedbywał swych obowiązków duszpasterskich. Pod tym względem był jednym z najbardziej czynnych rządców diecezji, jacy zasiadali na stolicy biskupiej w Wilnie, i chociaż nie zawsze dane mu było sprawować w diecezji rządy osobiście, powierzona jego pieczy jednostka administracji kościelnej z tego powodu uszczerbku nie poniosła [...] Był to człowiek nad wyraz pracowity, o niespożytych siłach, umysł miał niezwykle chłonny, otwarty na nowe prądy, ale potrafiący odróżniać w nich rzeczy dobre od tych o wątpliwej wartości, stąd też w jego nauczaniu brak nawet cienia myśli niezgodnej z oficjalnym stanowiskiem Kościoła. Dał się poznać jako doskonały organizator życia wewnętrznego diecezji (s. 616).

Podsumowanie takie odbiega od utartych opinii, w rodzaju: *Mało się zajmował życiem religijnym diecezji, prowadząc świecki tryb życia*¹. Wolor przeciwstawnej oceny polega na rodzaju podstaw, na jakich się ją formułuje. Mocne to zaiste podstawy. Praca obejmująca 32 lata pasterzowania jednego z głównych przedstawicieli katolickiego Oświecenia w polskim episkopacie doby stanisławowskiej oparta zo-

¹ P. Nitecki, *Biskupi Kościoła w Polsce. Słownik biograficzny*, Warszawa 1992 s. 138.

stała na imponującej podstawie źródłowej. Jej główny trzon stanowią bogate archiwalia wileńskie, przede wszystkim akta kurialne, konsystorskie, kapitulne, także rozporządzenia, wizytacje, korespondencja, inwentarze dóbr. Źródła watykańskie zawierają procesy informacyjne poprzedzające nominację biskupią Massalskiego i jego sufraganów, zaś polskie — to niewiele pomniejszych pozycji z archiwów w Warszawie, Krakowie, Białymstoku i parafialnych.

Książę Michał Massalski, hetman polny litewski, przeznaczył jednego z czterech synów, Ignacego Jakuba, do stanu duchownego. Kształcił go w wileńskim kolegium jezuitów, potem umieścił go w seminarium świętokrzyskim w Warszawie, skąd po 4 latach 22-letni Massalski udał się do Rzymu, gdzie w Sapienzy przez 3 lata studiował (do doktoratu włącznie) prawo, tradycyjnie otwierające drogę do kościelnych awansów bardziej niż teologia. Edukacja nie musiała uszczuplać ojcowskiej szkatuły, jako że przyszedł biskup już w wieku 17 lat, dzięki zapobiegliwości rodziciela, został kanonikiem katedry wileńskiej, a 2 lata później uzyskał kanonię w kolegiacie św. Jana w Warszawie. Wyświęcony w 1753 r. doktor praw wkrótce otrzymał prałaturę w kapitule żmudzkiej, a następnie probostwa w Różanej i Wołpie. Kolekcjoner beneficjów, zdobywanych dzięki ojcu i jego stronnikom, *nie zamierzał poprzestać na już osiągniętych zaszczytach i począł zabiegać o nowe.*

Obowiązki związane z uzyskanymi stanowiskami pełnili wyręczyście, a stan kościoła i puszczonego w arendę beneficjum w Wołpie był opłakany. Po skomplikowanych staraniach i utraceniu usiłowań kontrkandydatów, w 1762 r. zapobiegliwy prałat uzyskał w wieku 35 lat królewską nominację na wakujące biskupstwo wileńskie.

Diecezja wileńska, największa w Rzeczypospolitej, liczyła 231 tys. km², ponad 4 razy tyle, co krakowska, obejmująca obszar Małopolski. Sprawna organizacja takiej przestrzeni kościelnej (w 1767 r. — 444 parafie, 70 filii, około 624 tys. wiernych) była poniekąd ważniejsza niż wymagane przez sobór trydencki stałe przebywanie biskupa w diecezji. Nie był on bowiem w stanie, nawet przy wytężonej pracy, ogarnąć osobiście takiego giganta. Do tego w kraju, gdzie senatorska godność i związane z nią funkcje publiczne biskupów odrywały ich tradycyjnie w większym czy mniejszym stopniu od diecezji.

W ciągu pierwszych pięciu lat biskupstwa Massalski rezydował prawie ciągle przy katedrze, a warszawskie obowiązki senatora nie absor-

bowwały go jeszcze zbyt. Potem spędzał w stolicy więcej czasu zasiadając w Radzie Nieustającej czy prezydując Komisji Edukacji Narodowej. Odbył też 3 kilku – lub kilkunastomiesięczne podróże zagraniczne, usprawiedliwiając uchybienie trydenckiemu wymaganiu potrzebą ratowania zdrowia. Administrator wyznaczany na czas nieobecności, kancelaria zadworna, konsystorz stanowiły sprawne instrumenty administracji, działające i w trakcie absencji zwierzchnika. Inni biskupi czynili podobnie, z tym że wyręczanie wyręczaniu nierówne, podobnie zresztą jak i obecność w diecezji, bardziej czy mniej czynna.

Podobnie jak współczesny menedżer, który nie usiłuje znać się na wszystkim, udzielać się wszędzie i decydować o szczegółach, lecz dobiera sobie kompetentny i zaufany personel, tak Massalski znalazł ludzi pracowitych, rozważnych i sumiennych na kluczowe stanowiska wikariusza generalnego (doktor praw, późniejszy sufragan Piotr Toczyłowski), szefa kancelarii zadwornej (były jezuita Antoni Kruszewski), wizytatorów. Na czas swej nieobecności w diecezji w latach 1789–92 Massalski ustanowił (przedłużając po powrocie jej kompetencje) nieznaną prawu kanonicznemu „administrację duchowną generalną”, złożoną z 5 diecezjalnych prominentów. Działac mieli kolegialnie, decyzje podejmować większością głosów, a do kworum potrzeba ich było trzech. Widząc, że kolegium funkcjonuje sprawnie, biskup dodał mu prawo dobierania do swego grona innych duchownych z diecezji. Obdzielony dużymi uprawnieniami zarząd diecezji Massalskiemu *przypadł do gustu [...] uwalniał go bowiem od większej części obowiązków zwykle spoczywających na biskupie diecezjalnym i pozwolił mu oddać się niemal całkowicie działalności politycznej* (s. 123).

Czym to różniło się od posunięć innych biskupów, którzy z podobnych powodów także cedowali chętnie swe obowiązki zastępcom, stając się faktycznie figurantami kościelnego stanowiska, z którego jednak dóbr, w przeciwieństwie do pracy, korzystali bynajmniej nie symbolicznie? Różnica — czy rzeczywiście wielka? — polegała chyba na wyższym u Massalskiego stopniu owego pośredniego angażowania się w sprawy diecezji. Na tym też, że nie chciał on dopuścić, by w diecezji wyrósł ktoś jako faktyczny jej rządca, i być może stąd owe kolektywne rządy administratorów oraz nacisk na skrupulatne protokolowanie ich posiedzeń. Działo się to wszak po doświadczeniach z sufraganem Józefem Kossakowskim, który rezydując jako oficjał generalny w Trokach, zaczął przejawiać tendencje separatystyczne.

Po mianowaniu Kossakowskiego ordynariuszem inflanckim, Massalski skasował w 1781 r. trocki oficjalat generalny.

Rzetelność tych urzędników i poważne traktowanie przez nich ich zadań Autor ukazał na wielu miejscach, nie próbując pomniejszać ich dokonań gwoili poprawienia notowań Massalskiego. Cenny to przymiot pracy biograficznej. Jej bohater realizował swą politykę personalną wedle zasady: *powierzanie najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w diecezji duchownym wyłącznie przez siebie wykreowanym oraz bezgraniczne niemal przekonanie o poczuciu odpowiedzialności i uczciwości wyniesionych przez siebie na urzędy ludzi* (s. 152).

Upatrzywszy w kimś tuza, książę-biskup stawiał nań wytrwale. Mimo oburzenia kapituły przeforsował w 1766 r. na sufragana białoruskiej części diecezji swego głównego doradcę, wytrawnego teologa i erudyte, franciszkanina konwentualnego Feliksa Towiańskiego. Na jego następcę wypromował innego swego protegowanego, kanonika Stanisława Siestrzeńcewicza. Poznał go, jako wykształconego, znającego języki i dobre maniere gubernera w radziwiłłowskich Żyrmunach. I tak *dopiero co odkryty talent postanowił wprząc w służbę Kościoła, diecezji i ku własnemu pożytkowi. Siestrzeńcewicz zaś, widząc że otwiera się przed nim świetlana przyszłość, nie miał żadnych oporów co do zmiany wyznania i nie odmówił prałatowi Massalskiemu, gdy ten zasugerował mu wprost przyobleczenie szaty duchownej* (s. 160). Eloquentny nauczyciel młodych Radziwiłłów był bowiem dotąd kalwinem. Nowy sufragan białoruski został z czasem, jako pierwszy metropolita mohylowski, organizatorem życia Kościoła łacińskiego w całej Rosji.

Massalski dbał też osobiście o dobór najlepszych duszpasterzy na stanowiska dziekanów. Co roku określano ich uprawnienia, ważne dla funkcjonowania tak wielkiej diecezji. Stałym, zaprzysiężonym ich obowiązkiem było coroczne wizytowanie parafii, zwoływanie kongregacji dekanalnych, informowanie władz diecezjalnych o zaistniałych nieprawidłowościach, wykonywanie testamentów zmarłych kapłanów, dostarczanie do Wilna zebranych od plebanów danych statystycznych.

Pierwszą taką ankietę Massalski — a pozostałe również stanowiły jego własną inicjatywę — zarządził w 1764 r., by uzyskać rozeznanie w stanie parafii. Rozbudowano w niej pytania o oposażenie plebana, pominięto istnienie wikariuszy i zakonników. W 1775 r. biskup zatwierdził lepiej przygotowany kwestionariusz (88 pytań w 7 blokach).

Jego efekty miały służyć pomocą w kanonicznej wizytacji diecezji. Przetworzone w tabele raporty o stanie parafii z lat 1781–1792 stanowią cenny materiał informacyjny. Ankietę w 1792 r. Massalski zarządził w związku ze skargami wiernych na duchowieństwo. Pytał więc o rezydowanie księdza w parafii, o księży wagabundów, o świeckie posady i funkcje kapelanów dworskich. Także o wykształcenie, obyczaje, duszpasterstwo, dbałość o obiekty sakralne i majątek beneficjalny.

Wizytacje Massalski odbywał, jak wspomniano, początkowo w dużym zakresie osobiście. Nieprzywykły za czasów kapłańskich do trudów duszpasterzowania fatygował się tedy wytrwale do wielce odległych parafii. Za taki wysiłek pewnie i Pan Bóg darował mu sporo grzechów. A jeszcze i za to, że tak dbał, by księży znali język swych wiernych. Dzięki jego wytrwałej polityce personalnej fary w północnej części diecezji, gdzie ludność mówiła prawie wyłącznie po litewsku, uzyskali tylko ci duchowni, którzy też to potrafili.

Ważnych informacji o polu widzenia rzeczywistości pastoralnej i środkach jej modelowania dostarczają oczywiście rozporządzenia i listy pasterskie Massalskiego, zwłaszcza tam, gdzie wykraczają poza przypomnianie prawd i norm podstawowych. W jednym z nich biskup *dużo miejsca poświęcił problemowi stosowanych przez plebanów kar, z karami cielesnymi włącznie, wymierzanych niejednokrotnie bez umiaru i nieproporcjonalnych do winy* (s. 242–243). Czy można poprzestać na takim tylko streszczeniu listu pasterskiego, nic z niego nie cytując, nie wyjaśniając bliżej okoliczności stosowania tej przemocy i pozostawiając czytelnika w domysłach?

Omawiając medyczne wskazania towarzyszące wzywaniu do pokuty podczas morowego powietrza, albo ostrzeżenia przed jedzeniem chleba z niedojrzałego zboża czy zachęty do naprawiania dróg, mostów, reformę jałmużnictwa na rzecz ubogich warto było wyjść poza streszczanie zarządzeń i związać je z humanitaryzmem całościowego postrzegania ludzkich potrzeb, widocznego także w listach innych biskupów katolickiego Oświecenia. Nawiasem: jeśli już nadawać listom pasterskim, na wzór encyklik, tytuły tworzone od ich incipitów, to wieniem nim być początek pierwszego zdania, a nie powtarzalny adres: *Wszystkim wiernym Chrystusowym diecezji naszej wileńskiej*.

Wiele uwagi poświęcono katedrze i jej duchowieństwu oraz sporum kapituły i biskupa, przeprowadzającego kosztowną przebudowę

tej świątyni, o finansowanie tych prac. Autor relacjonuje racje stron, usiłuje rozumieć, nie zaś bronić czy oskarżać. Nie tylko zresztą Massalskiego przedstawia od lepszej i gorszej strony. Dotyczy to i innych znamienitych person. Oto i wspomniany sufragan Józef Kossakowski, który za protekcją posła rosyjskiego Stackelberga zostaje mianowany biskupem inflanckim. Uruchomiwszy tę i inne znajomości, zyskuje u króla upragnioną koadiutorię z prawem następstwa na stolicę wileńską. Massalski musi się na to zgodzić, jako że jego pozycja na dworze nie jest w tym czasie mocna, a zdrowotne preteksty jego długich wojaży zagranicznych stały się teraz argumentem, że słabując potrzebuje koadiutora. A przecież ten znany z *namiętnej pasji gromadzenia niekoniecznie legalną drogą tytułów i majątków* Kossakowski, który kiedyś jako sufragan wileński zajmował się głównie intrygowaniem przeciw podskarbiemu litewskiemu Tyzenhausowi i wojowaniem z kapitułą, to ten sam człowiek, który w ciągu 10 lat kierowania diecezją inflancką zwizytował ją osobiście 2 razy. Upominał się też u księcia Kurlandii o prawa swych wiernych, ale i sprzeciwiał się dyskryminowaniu innowierców, zyskując ich uznanie. Założył seminarium, często celebrował, bierzmował, święcił (s. 167, 170, 171).

Massalski uczynił też wiele dla seminarium, którego prowadzenie powierzył misjonarzom. Znalazły się środki na utrzymanie większej liczby alumnów i ich dłuższe, 4-letnie studia. W programie położono nacisk na wykłady dogmatyki i moralnej, Pisma Świętego oraz ćwiczenia homiletyczne i liturgiczne, a także lektorat z francuskiego. Pamiętano i o historii Kościoła, patrystyce, apologetyce. Notatki podczas wykładów, pisanie katechez, poddawanie ich dyskusji, stanowiły istotne *novum*. Rekolekcje, dni skupienia, rachunki sumienia dopełniały formacji duchowej. Podczas rekreacji któryś z profesorów doglądał, by w konwersacji kleryków zachowana była *wszelka przystojność, słodka ludzkość i polerowana grzeczność*. Jednocześnie za cięższe wykroczenie alumn podlegał parodniowemu odosobnieniu o chlebie i wodzie. Nowe mieszało się ze starym.

Kontrastów nie zabrakło i w postępowaniu biskupa wobec zreformowanego przezeń seminarium. Choć uczynił dlań tak wiele, kiedy stwierdził, że dobrze zarządzany majątek tego zakładu pozwala utrzymać alumnów, uboższym spośród nich kupić buty i odzież, powiększyć bibliotekę, oświadczył kapitule że dla dobra kleryków bierze folwarki seminaryjne pod swój bezpośredni nadzór, po czym powierzył

ich administrację zarządcy swych dóbr stołowych. W efekcie dochody od 1788 r. spadły, w seminarium zrobiło się głodno i chłodno, a alumnów ubyło. Biskup przebywający dłużej za granicą (Cieszyn) reagował niedowierzająco i opieszale na interwencje prowizorów kapitulnych w sprawie stanu seminaryjnych funduszków.

W ocenie poziomu intelektualnego duchowieństwa ks. Kasabuła — w ślad za współautorem *Historii Kościoła w Polsce*² — polemizuje ze świadkami epoki, Kołłątajem, Kitowiczem oraz nuncjuszami Viscontim i Durinim. Prostowanie utartych poglądów, nawet urobionych na podstawie źródeł, jeśli te są nierzetelne czy dobrane jednostronnie, to jeden z ważniejszych celów badań historycznych. Pod warunkiem wszakże, że nie będzie to przeciwstawianie się niemiłym opiniom przy pomocy zaprzeczeń czy argumentując milczeniem innych źródeł.

Adwersarze mają tu tę przewagę nad Autorem, że żyli w epoce, o której pisali, a z racji swych stanowisk i zainteresowań mieli całkiem szerokie pole obserwacji. Dla ułatwienia sobie polemiki z nimi zostali oni najpierw poddani karykaturyzacji. Oto cytowany w przypisie Kołłątaj stwierdza: *ile razy trzeba było spowiadać się albo zachciało się posłuchać lepszej nauki, trzeba jej było szukać w kościołach zakonników, nie żeby tam dobrze szły rzeczy, lecz że szły lepiej*. Autorska interpretacja tego smętnego lecz spokojnego stwierdzenia brzmi: *opinia zatem księdza Hugona Kołłątaja o skandalicznie niskim poziomie intelektualnym duchowieństwa nie ma potwierdzenia w diecezji wileńskiej*. Tak samo jak wspomnienia Jędrzeja Kitowicza, *barwne, lecz subiektywne* (a czy wychwalanie byłoby obiektywne?). Albo raporty obu nuncjuszy *utrwalające na długie lata obraz duchownego tego okresu jako ciemniaka i niedouczonego ćwierćinteligenta, o nic więcej nie zabiegającego, jak o pomnożenie swego majątku*.

Uciekanie się do języka antyklerykalnej propagandy wczesnego Peerelu, by wywołane w ten sposób negatywne emocje skierować na tych, co 200 lat temu, nie mając pojęcia jak wielce ubodzie to kiedyś naszego Autora, nisko oceniali wykształcenie księży, jest zabiegiem, delikatnie mówiąc, niestosownym. Dowiadujemy się tedy, że duchowieństwo diecezji wileńskiej drugiej połowy XVIII w. w *swjej zasadniczej masie* było dobrze przygotowane do pełnienia obowiązków duszpasterskich, a dowodzi tego *dostępny materiał źródłowy*, czyli

² T. 2 cz. 1, red. B. Kumor, Z. Obertyński, Poznań 1979 s. 82 (J. Wysocki).

brak skarg ze strony wiernych na niski poziom kazań czy na niekompetentne katechizowanie. A przecież w *innych dziedzinach diecezjalnie dość skrupulatnie rozliczali swoich duszpasterzy, a wszelkie uchylenia chętnie wytykali w donosach do Wilna*. A dotyczyły one *nie tyle niskiego poziomu kazań czy katechez, ile raczej ich braku lub nieregularności* (s. 347).

Tak więc nawet niedbali księża wileńscy, gdyby tylko zechcieli robić swoje, czyniliby to na poziomie! Czyżby wierni pod amboną oraz ich dzieci nauczane abecadła wiary, znali ją już tak dobrze, iż byli w stanie ocenić teologiczną poprawność słów księdza? Jeśli zachowane donosy (lub ich brak) na marne kazania mają być głównym sprawdzianem wykształcenia duchownych, to wyjdzie na to, że ich edukacja przedstawiała się lepiej w chwili zakładania potrydenckich seminariów niż obecnie! A przecież synody oraz wielu innych kompetentnych świadków epoki powiedzieli niemało o stanie umysłowym kleru, a także o niezbyt wysokich wymaganiach stawianych kandydatom egzaminowanym przed święceniami.

Jeśli stosunki na Litwie odbiegały tu od diecezji koronnych, rzecz wymagała pełniejszego omówienia niż lakoniczne oświadczenie (za Kurczewskim, 1912), iż większość przyszłych księży *przedkładała studia w Akademii Wileńskiej nad seminarium diecezjalne*, co dawało perspektywę *otrzymania bardziej intratnej prebendy*. Takie stwierdzenie budzi pytania, na które w pracy brak odpowiedzi: co na to Massalski? Święcił takich studentów prosto z uniwersytetu, czy kazał ich wprzódy nieco uduchowić i poćwiczyć w obrzędach? Jaki odsetek księży stanowili, i jakim cudem jako większość mogliby liczyć na lepsze beneficja, które były wszak w mniejszości? I nie od rektora Akademii, ani władz diecezjalnych w gruncie rzeczy zależało ich przydzielanie, ale od kolatorów, których ewentualne preferencje wobec akademików, czy ich rachuby w tej mierze, nic a nic nie obchodziły!

W książce przedstawiono rozwój sieci parafialnej — aż 33 nowe jednostki powstały dzięki pojezuickim kościołom i funduszom. Mimo to odległość do świątyni była nadal przeważnie tak wielka, że w *wielu parafiach pojawił się zwyczaj delegowania w kolejne niedziele na mszę św. do najbliższego kościoła co dziesiątej osoby spośród mieszkańców wsi*. Z tym że z bliższych kościoła osad wysyłano ich więcej, z dalszych zaś mniej. Wybrańcom towarzyszył tzw. dziesiątnik, który miał dopilnować, by chłopci dotarli do świątyni parafialnej, a po jej

opuszczeniu, aby *nie błędzili i swe kroki kierowali do karczmy nie innej niż ta, która była własnością ich pana* (s. 398).

Starannie omówiono praktykę udzielania sakramentów i rolę biskupa w utrzymaniu ich szafowania zgodnie z przepisami liturgicznymi. Z wyjątkiem wielce niefortunnego zdania, sprzecznego na parę sposobów z prawem kanonicznym. Napisano bowiem: *Zarówno sąd diecezjalny, jak i kancelaria zadworna, ilekroć należało rozważać sprawy rozwodowe lub o separację małżonków, stawały w obronie węzła małżeńskiego i wyroki stwierdzające nieważność związku, jeżeli zapadały, zawsze ferowane były po próbach pogodzenia zwaśnionych stron* (s. 419). — Spraw o kościelne orzeczenie nieważności małżeństwa nie należy zwać rozwodowymi; nie da się bronić węzła tam gdzie go nie ma, ani uchylić się od stwierdzenia rzeczywistej nieważności związku dlatego, że strony się pogodziły, a czynić to, bo nie doszły do zgody.

Massalski zakazywał też zwyczaju handlowania na przykościelnych cmentarzach, odbywania w świątyniach sejmików, ostentacyjnego a publicznego biczowania się w Wielkim Poście. Organizowanie pielgrzymek, ze względu na towarzyszące im nadużycia, uzależniał od udzielenia na nie zgody przez władze diecezjalne. Podczas wizytacji zwracał uwagę na atesty autentyczności relikwii. Wszystko to razem stanowiło korygowanie pozornie tylko pobożnych przejawów barokowej pobożności, zarządzeniami w duchu katolickiego Oświecenia. Podobnie jak dbanie o ciągłe nauczanie kaznodziejskie i katechetyczne, bliższe Ewangelii niż oratorstwa. Przed pisarzami Oświecenia racjonalistycznego, *wolnie o religii rozumujących*, biskup przestrzegał księży i wykształconych wiernych.

Masom przecież groziło uleganie nie deizmowi, lecz synkretyzmowi chrześcijaństwa młodszego o 5 wieków od polskiego (zabobonów panowało bez liku, a w ukryciu przetrwał nawet pogański kult drzew). Przy tym podobnie jak w Koronie pielgrzymki i tu współlistniały z pijaństwem, a dewocja z niecnotą. Nauczających z nauczonymi łączył po parafiach wpływ wzajemny. Dał temu wyraz Massalski, kiedy oburzał się, gdy doszła go wieść o oskarżeniu o czary kobiety w parafii Szaty. Pisał: *rzecz dziwna, że w tym wieku oświeconym podobne panują przesady, ale dziwniejsza, że duchowni w tymże wieku, więcej jak dawniej oświeceni, tych przesądów nie uprzątają, a częstokroć są onych sprawcami i pospółstwu lekkomyślnemu wrażają* (s. 422).

Urządzając niezwykle potrzebne misje parafialne biskup sprawdzał wpieryw przydatność poszczególnych zakonników do tej pracy, a uznawszy ich kwalifikacje dawał skierowanie, uprawnienia i instrukcje. W wyznaczonych na to chałupach, po wioskach rozległej parafii, rozproszeni misjonarze przez tydzień uczyli wpieryw mieszkańców — po sprawdzeniu ich znajomości pacierza i dekalogu — tego, czego im nie dostawało z minimalnej wiedzy katechizmowej, a w niedzielę prowadzili ich wszystkich do kościoła. Mogli przy tym udzielać rozgrzeszenia z przypadków rezerwowanych biskupowi, a nawet regulować nieuporządkowane sprawy małżeńskie, łącznie z błogosławieniem takich związków i dyspensowaniem od niektórych przeszkód. Po zakończeniu pracy misjonarze mieli złożyć biskupowi sprawozdanie, wypełniając wnikliwy kwestionariusz.

Na sporej liście dokonań pastoralnych Massalskiego znalazło się także nabożeństwo 40-godzinne. Zaprowadzał je realizując postanowienie papieża Klemensa XIII z 1765 r. i opatrując oczywiście instrukcjami, które i tym razem, choć znów drobiazgowo, służyć miały pogłębieniu szczerzej pobożności. Przewidziano tam: przygotowanie kaznodziejskie, porządek procesji eucharystycznej, dobór pieśni, zakazano też sprawowania mszy podczas adoracji. Nabożeństwo można było odprawiać częściami, przez 3–4 kolejne dni. Miała to być przeciwwaga ograniczanego przez władze kościelne, gdyż nader częstego i przez to spowszedniałego, wystawiania Najświętszego Sakramentu przy lada okazji, bez należytego skupienia i doboru stosownych do tego modlitw czy tematów kazań. W tragicznym czasie narodowego zagrożenia w 1792 r. biskup Massalski zalecał gorąco odprawianie w intencji Ojczyzny 40-godzinnego nabożeństwa we wskazanych miastach.

Na terenie diecezji wileńskiej działało około 1300 parafii grekokatolickich, czyli prawie 3 razy tyle, co łacińskich. Współzycie obu obrządków układało się dość dobrze. Księża wspomagali się wzajem w spowiedziach. Także misje parafialne prowadzone przez bazylianów czy zakonników łacińskich gromadziły miejscowych wiernych obu obrządków. Pewne napięcia między nimi istniały na tle przechodzenia unitów na rzymski obrządek. Z prawosławnymi układało się gorzej. Z protestantami — lepiej, głównie dlatego, że było ich mało, byli głównie cudzoziemcami i nie stała za nimi niepokojąca Polaków protekcja Katarzyny II. Urzędy diecezjalne tonowały mało ekumeniczne zachowania co bardziej porywczych plebanów.

Biskup Massalski dbał o tolerancję wobec Żydów. Wydawanie koncesji na budowanie przez nich synagog i szkół zastrzegł dla siebie. Pozwolenia wydawał łatwo. Nasilony prozelityzm katolicki oburzał Izraelitów. Biskup *obserwując nierzadko oplakane skutki owych, nie zawsze w pełni dobrowolnych nawróceń, nie mogąc zakazać tej działalności, często wskazywał jej oplakane skutki i precyzował warunki udzielania chrztu*. Autor relacjonuje przypadki zachowań łowców dusz żydowskich i wypowiedzi Massalskiego, oburzającego się — np. w liście do duchowieństwa z 1783 r. — na tych, których *zbytni zapęd przez gwałtowne porywanie ku chrzczeniu dzieci Żydów [...] bardziej krzywdę religii niż budowanie i pociechę Kościołowi sprawuje*. Powoływał się na naturalne prawo rodziców do dziecka. Nie kończyło się na jakże ważnych i prekursorskich słowach dotyczących praw człowieka. Gdy rodzina żydowska zgłaszała taką sprawę, biskup kazywał sprowadzić do swej kancelarii czy konsystorza kandydata do chrztu czy już neofitę. Wobec przedstawicieli gminy żydowskiej był on pytany nie tylko o znajomość wiary chrześcijańskiej i motywy konwersji, lecz dochodzono także rzeczywistej dobrowolności przystąpienia do Kościoła. Wynik tego skrutynium *nie zawsze był zgodny z wcześniejszą oceną dokonaną przez plebana* (s. 484–488).

Następnym ważnym dokonaniem pastoralnym Massalskiego było przygotowanie i przeprowadzenie jubileuszowego roku 1775, obchodzonego poza Rzymem w 1776 r. Biskup zachęcał wiernych: *niech to miłościwe lato stanie się dla was czasem zbawiennym, nie przestając na powierzchownościach zajrzyjcie pilną uwagą w kryjówki serca waszego, przejrzyjcie cały ciąg przepędzonego życia, obejrzyjcie się na wasze obowiązki chrześcijańskie i obywatelskie, na wasze ku Bogu, zwierzchności, bliźniemu i samym sobie zachowanie*. Warunki zyskania odpustu określał swoim zwyczajem dość drobiazgowo, ale owa *aptekarzka dokładność* mało przecież miała wspólnego z kazuistyczną małostkowością, a więcej z dążeniem do jej wykorzeniania. Dlatego np. pozostawiając dużą swobodę w doborze modlitw przy nawiedzaniu wyznaczonych kościołów, przestrzegał by *nie tchnęły zabo- bonnością, przywiązanych do siebie nie miały obietnic dziwnych a fałszywych i nie zawierały słów dzikich i niezrozumiałych, którym nie- świadomość osobliwsze skutki przypisuje*. Wskazywał też różne formy czynów miłości bliźniego (s. 501–504).

Szpitala parafialne w diecezji wileńskiej w 1781 r. dawały schronienie 2424 ubogim. Massalski interesował się ciągle stanem tych przy-

tułków i uczynił sporo by było ich więcej, a mieszkańcom by żyło się łatwiej. Niemalże zasługi położył również dla upowszechnienia i poprawy frekwencji oraz programu w szkołkach parafialnych, w swej diecezji i w Polsce, kierując Komisją Edukacji Narodowej. Owe szpitalne i szkolne sprawy przedstawiono w książce, jak zresztą i zdecydowaną większość pozostałych, tak szeroko a źródłowo, że po biografie Masalskiego—duszpasterza sięgnąć musi większość badaczy zajmujących się Kościołem ostatniego etapu pierwszej Rzeczypospolitej.

Na koniec, obok rozmaitych walorów omawianej pracy, wymienić warto i celność wielu sformułowań, którą przedstawić można jedynie za pomocą przykładu.

Oto i bractwo różańcowe w Kownie, przy farze, prowadzone przez pobliskich dominikanów (s. 523). Styl owego kierowania nie podoba się jednak proboszczowi, tedy w 1782 r. użala się on przed biskupim wizytatorem, iż miejscowy opiekun bractwa różańcowego, duchowy syn św. Dominika, nad wyraz chętnie osobiście kwestował na rzecz bractwa i innych współpracowników na oną kwestę wysyłał. Odkryta przez plebana przyczyna owej kwestarskiej gorliwości leżała nie tyle w nadzwyczajnej hojności parafian, gdyż tę — a raczej jej brak — miejscowy proboszcz znalazł doskonale z autopsji, ile w prawdziwie słowiańskiej gościnności wiernych kowieńskich, skutkiem czego kwestujący sługa Boży po suto zakrapianym poczęstunku kończył był zazwyczaj obchód już w pierwszej szlacheckiej zagrodzie, po czym przez życzliwych parafian, bez grosza, odstawiany był do macierzystego klasztoru. Tutaj dopiero zdobywał pieniądze na działalność bractwa, nakładając na jego członków kary pieniężne za nieobecność na codziennym śpiewanym różańcu, któremu to obowiązkwowi wierni, zwłaszcza włościanie, w żaden sposób nie będąc w stanie zadośćuczynić, płacili haracz.